WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 2. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 12 Stycznia 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszenia zwycz. 65 f. „Nadesłane“ Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.

Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.

W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.

W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Ryn ek 17

We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchstaba — ul. Karola Ludwika 21.

X. ORACZEWSKI.

Człowiek a organizacya.

Człowiek w istocie swej stanowi fizyczno-duchowy organizm, w którym każda funkcya, zależna w swych wynikach od reszty pozostałych, wytwarza w działaniu ludzkiem wybitną spoistość i znamię przyczynowości.

Gdy rozpatrujemy życie ludzkie, jako sumę różnorodnych przejawów tego fizyczno-duchowego organizmu, wówczas każdy czyn człowieka staje przed nami jako ostateczny wynik pewnego współdziałania, czyli organizacyi sił, zawartych w jednostce ludzkiej.

Czynniki, kształtujące tę organizacyę sił, wywołującą czyn, są następujące: 1-o—jasna świadomość celu i środków działania, w której funkcya poznającego umysłu bierze udział; 2-o — mocne, zdecydowane pragnienie czynu, w którem uczucie i pożądanie, zasilane wyobraźnią, działają i 3-o realizacya czyli urzeczywistnienie czynu w świecie materyi za pomocą narządów zmysłowych.

Jeżeli przy takiem współdziałaniu czynników organizujących stosujemy środki działania, odpowiadające celowi, wówczas czyn zostaje spełniony, wówczas impulsy, płynące ze świadomości i woli, tworzą ład i następczość działania i należyte skupienie sił, dających w rezultacie wykonanie czynu.

Każdy czyn, o ile ma być dobrze postawiony, winien być należycie zorganizowany. Każdy człowiek działający, o ile pragnie dobrze działać, winien być od fundamentu dobrze postawiony, budując według zasad organizacyi każdy, choćby najdrobniejszy, czyn życia swego. Najważniejsza rzecz w życiu—to umiejętność działania, która streszcza w sobie wszystkie moce człowieka.

Wszelka bowiem reforma życia sprowadza się do zorganizowania poszczególnych czynów i etapów działania. Największy wróg prawdziwego rozwoju i postępu człowieka i prawdziwego jego szczęścia to chaos, dysharmonia i dezorganizacya jego sił zewnętrznych lub wewnętrznych.

Wszelka ewolucya i postęp w człowieku i poza nim oparte zostały na odpowiedniem organizowaniu sił. Każda drobina materyi w działaniu zorganizowanem atomów bierze swój początek; wszelka istność, każda roślina, każdy „organizm“ zwierzęcy—wszystko w świecie całym wszelką swą ewolucyę czerpie z harmonijnego współdziałania pierwiastków, z których się składa, i z należytego powiązania sił własnych z ogromem pozostałych energii, z których się wyłania.

Ten wielki nieustanny rytm wszechświata, owa „harmonia sfer“ skuwa w jeden olbrzymi łańcuch każdą energię, usiłującą osiągnąć cel swego działania, w wielkiem dziele organizacyi sił i ewolucyi powszechnej.

Człowiek, jako najdoskonalszy obraz stworzenia, posiada też w istocie swej najwyższy objaw organizacyi sił, współdziałających w tworzeniu jego życia — najwyższy, bo zależny od jego woli, od jego energii wewnętrznych i najsubtelniej związany z wolą działania i organizacyą sił tych wszystkich ludzi, z którymi jego życie bywa pośrednio, czy bezpośrednio związane.

Człowiek sam ani na chwilę w życiu, ani w czynach, pomyślanym być nie może. Jest on zawsze z innymi związany, jest jak to drzewo, czerpiące soki z gleby rodzaju ludzkiego—z ziemi-karmicielki, która mu daje karm ducha i ciała, materyał na dzień każdy, i z której własnym wysiłkiem i własną pracą człowiek tworzy nowe przejawy życia, potęguje to życie i rozrasta w swych konarach, na których powoli dojrzewają owoce działania ludzkiego, będące zarodkiem nowego życia.

Człowiek każdym swym czynem wpleciony niejako został w wielkie koło przyczyn i skutków, w ów naturalny związek i łączność wszystkiego tego, co go otacza. Jego organizacya osobista została nierozerwalnie związana z wielką „organizacyą wszechświata“.

W ten sposób na podłożu czynów jednostkowych wyrasta organizacya czynu zbiorowego, z której, jak ze źródła, wszelki rozwój pochodzi. Stąd postęp z rozwojem organizacyi został nierozerwalnie związany.

Organizacya to zasadniczy czynnik cywilizacyi.

Życie ludzkie na drodze swego rozwoju, związane wspólnotą interesów swych i dążeń, zdołało stworzyć dwa rodzaje organizacyi: przymusową i dobrowolną.

Dwie moce, jakie się wyłoniły ze współżycia ludzkiego—autorytet i pieniądz—stanowiły i po dzień dzisiejszy stanowią główne podwaliny organizacyi przymusowej, która najwyższy swój wyraz znalazła w tworzeniu instytucyi państwowych.

Również pewne cechy organizacyi przymusowej, aczkolwiek w mniejszym stopniu, posiadają różne instytucye ekonomiczne, reprezentujące interesy tak zwanego wielkiego przemysłu, który organizacyę swych sił roboczych opiera na potędze monetarnej.

Z tych dwóch olbrzymich przejawów organizacyi przymusowej wyłaniały się stopniowo, a w czasach ostatnich nader silnie dwie kwestye zasadnicze współżycia rodzaju ludzkiego, kwestye, które dotychczas nie znalazły rozwiązania—to sprawa militaryzmu, biorącego swój początek z ustroju państwowego, oraz tak zwana kwestya socyalna i problemat kapitalizmu, płynące z nowoczesnego ustroju wielkich organizacyi ekonomicznych.

Pomimo ogromnych postępów, dokonanych w ostatnich czasach przez organizacyę państwową, opartą na autorytecie, i organizacyę ekonomiczną, opartą na przymusie monetarnym — wszystko to okazało się niewystarczającem wobec nowych zagadnień współżycia, powstających przed społeczeństwami nowożytnemi. Kiedy masa ludzka zaczęła rosnąć niepomiernie i wzrost kultury począł wytwarzać wciąż nowe potrzeby, wówczas człowiek, co rości sobie nieustannie prawo do pogłębiania i rozszerzania swego życia, zapragnął wytknąć nową linię rozwoju sił swoich w tak zwanej organizacyi dobrowolnej.

Zrzeszenie wolnych sił społecznych staje się synonimem dążności do obrony interesów własnych, opartych na wspólnym rozroście i wspólnem usiłowaniu do osiągnięcia pewnej sumy zamierzonego dobra.

Człowiek nowoczesny pojął, że dziś wszystko, co rości sobie prawo do życia i pragnie znaleźć dobre miejsce na ziemi, musi się organizować, musi ze wspólnej pracy dążyć do skupienia sił, aby razem osiągnąć cel wspólny. Zorganizowana obrona interesów wspólnych staje się dziś hasłem cywilizacyi współczesnej.

Obok organizacyi przymusowej, obok instytucyi państwowych pozostaje jeszcze ogromne pole działania dla zbiorowej organizacyi wolnych sił społecznych, która ma zdobywać na drodze ogólnego rozwoju ludzkości to, czego żadna organizacya przymusowa osiągnąć nie zdoła. Powstaje więc cała olbrzymia sieć związków, stowarzyszeń, klubów i korporacyi, bądź to pilnujących interesów zawodowych, bądź to związków dobroczynnych, bądź wreszcie oświatowych, ekonomicznych, sportowych i wszystkich innych, obdarzonych samowiedzą zbiorowej akcyi. Słowem, dziś w kulturalnem społeczeństwie niepodobna sobie wyobrazić jakiejkolwiek grupy interesów, która nie byłaby organizowana. Człowiek nowoczesny wstępuje w nową epokę swego rozwoju, w której normalnie żyjąca jednostka społeczna zaczyna się od organizacyi. Człowiek nowoczesny dąży do spotęgowania czynu przez należyty podział pracy i organizacyę sił, zawartych we wspólnem dążeniu *).

Aby jednak organizacya sił ludzkich, zdążająca do wytworzenia mocnego i produktywnego czynu, mogła należycie spełnić swoje zadanie — winna ona posiadać te cechy zasadnicze, które nadają wszelkiemu zbiorowemu zrzeszeniu prawdziwą wartość. Przedewszystkiem powinna ona swoim wpływem oddziaływać wszechstronnie na rozwój wszystkich władz struktury człowieczej, uwzględniając przytem głównie ten cel, dla którego została powołana do życia; ta bowiem główna moc i siła, o której rozwój dana organizacya przedewszystkiem zabiega, może być wówczas dopiero należycie zrealizowana, jeżeli zostanie oparta na harmonijnem współdziałaniu wszystkich władz człowieczych; wówczas organizacya w działaniu swem nie wniesie do życia ludzkiego dysharmonii i jednostronnego rozwoju pewnych władz człowieczych kosztem drugich.

Jeżeli chodzi o sam proces działania, to każda organizacya powinna posiadać odpowiedni zespół sił inicyatorskich i wykonawczych, powiązanych ścisłem spoidłem karności, wypływającej z dobrowolnego i świadomego łączenia interesu własnego z interesem zbiorowym.

Jeżeli zatem dana organizacya w działalności swej uwzględnia pełnię rozwoju władz człowieczych, związanych z naczelnem usiłowaniem osiągnięcia celu głównego, jeżeli należycie szereguje czynniki inicyatywy i wykonania i przesyca to wszystko pierwiastkiem świadomej siebie karności, wówczas należycie spełnia zadanie swoje i wówczas dopiero w sposób niezwykle mocny i produktywny oddziaływa na całokształt jednostki społecznej. Wówczas organizacya zbiorowa 1-o pogłębia samowiedzę społeczną, rozszerzając horyzont jednostki, która coraz lepiej zaczyna rozumieć istotę swych obowiązków względem społeczeństwa, do którego należy, oraz cel i dążenia, ku którym ona, w tem społeczeństwie żyjąca, zmierzać powinna; 2-o wzmacnia łączność społeczną, wiążąc w jednolitą, wspólną akcyę interesy poszczególnych jednostek; wreszcie 3-o kształci energję i rozmach wspólnego działania, wywołując poczucie współzawodnictwa i odpowiedzialności osobistej.

*) Por. *B. Koskowski:* Organizacya.

JAN CZEMPIŃSKI.

Warszawa podczas wojny.

X.

Kto tylko z płomiennych odezw, wołających o ratunek lub z głosów dzienników, malujących zubożenie ludności wyrabiał sobie sąd o położeniu stolicy w czwartym roku wojny, ten bywał zdumiony, widząc powstające dziesiątkami sklepy spożywcze oraz przeróżne kawiarnie i cukiernie. Bywał jeszcze silniej zdumiony, gdy widział w oknach wystaw sklepowych stosy wszelkiego rodzaju produktów żywnościowych, nie różniących się ani ilością ani doborem od czasów przedwojennych.

Gdy jednak na tle owej obfitości produktów spożywczych, nie wyłączając najwytworniejszych, widziało się tysiące żebractwa ulicznego i przerażającej długości „ogonki“, wystające po całych dniach i nocach przed sklepami z chlebem czy składami węgla albo bazarami ziemniaczanemi, tego musiał uderzyć ów szalony kontrast w życiu mieszkańców.

Kontrast — bezmiaru nędzy z rozrzutnością niemal wschodnią, bezmyślną, nie liczącą się z jutrem, z tą rozrzutnością, jaka cechuje tylko ludzi, którym grosz łatwo przychodzi i którzy ufają, że spryt pozwoli im długo utrzymać się na powierzchni życia.

Rozrzutność zdumiewająca miała zresztą swe specyficzne powody. Oto niejasność przyszłości nie dawała pewności co do lokowania i zachowania zdobytych sum w tej czy w innej walucie, czy też w tych lub innych walorach procentowych. Słyszano coś o nieuniknionym po wojnie spadku wszelkich znaków pieniężnych i rozumiano, iż wartość faktyczną posiada i posiadać będzie wszelka rzecz realna, czy to zatem ziemia, czy też złoto, bądź srebro, czy wreszcie—wszelkie towary, które zawsze znajdą nabywców.

Dla tego to łatwo pozbywano się gotówki, nabywając wzamian niepotrzebne i wciąż rosnące w cenie klejnoty, drogie kamienie, srebra, obrazy i rzeźby, antyki, wreszcie--tkaniny i futra, zwłaszcza droższe.

Wydawało się to dziwnem, iż wobec niewątpliwego zubożenia ludności rzeczy nie pierwszej potrzeby mają pokup niezwykły i to po cenach nieraz fantastycznych. Wytłomaczyć to jednak łatwo, gdy się przyjmie pod uwagę, iż więcej miano zaufania do obrazu dobrego mistrza czy kolczyków brylantowych za 10,000 marek bądź rubli, niż do banknotów tej wartości.

O oszczędności — zapomniano. Pamiętali o niej ci tylko, co musieli oszczędzać na wszystkiem, byle wyżyć przy wzrastającej wciąż drożyźnie.

W rozrzutności przykład dawała—wieś. Wielu ziemian, biorąc za ziemiopłody czy nabiał ceny zawrotnej wysokości, gromadziło w swem ręku kapitały, o których niedawno, przed wojną, zaledwie śnić mogli.

Jeszcze silniej obfitość gotówki odbiła się na położeniu włościan. Ci, miewali w swem ręku częstokroć sumy, których już sami zliczyć nie mogli. Nie mając zaś zaufania do żadnych banków ani kas, trzymali w domu bezprocentowo kapitały olbrzymie.

Mieszkańcy wsi topili też w miastach sumy bardzo znaczne. Na klejnoty, meble i futra a również — na życie. Restauracye szybko zoryentowały się, iż żadna cena nie bywa dla pewnej kategoryi gości zbyt wysoka, byle fantazyę gościa zaspokoić.

Należało nieraz do dobrego tonu, gdy ziemianin oddzierał z jadłospisu lub karty win prawą stronę z cenami, dodając z lekceważeniem:

— Co kosztuje—to mnie nie obchodzi...

Organizacja daje swym zrzeszonym wielką siłę materjalną i moralną, przekształcając ludzi ze ślepo rzucanych wichrem pionków w zbiór organizmów myślących, o jednym mózgu centralnym. Organizacja to potęga, która najlepiej uczy metody czynu, będącej główną i istotną podstawą wszelkiego prawdziwego rozwoju i postępu zarówno jednostki jak i całych społeczeństw.

J. OKSZA.

Młodość Wyspiańskiego

ze wspomnień osobistych.

(CIĄG DALSZY).

Bierze go w swoje objęcia Paryż — la ville—lumière, ta stolica duchowa wszystkich wielkich idei, wszystkich artystycznych, społecznych i naukowych prądów, jakimi żyła przed wojną ludzkość,—ta druga ojczyzna każdego artysty — to najukochańsze miasto—miasto żywych—nietylko rynek wszechświatowego zbytku i uciechy, ale i wielka kuźnia wszechświatowej pracy twórczej i najwyższego wysiłku ducha. Oprócz renesansowej pracowitości ucznia, który przyszedł zdobywać arkany swojej sztuki, oprócz renesansowej ciekawości badacza żył wtedy w Wyspiańskim renesansowy miłośnik życia, a może więcej jeszcze dekoracyi życia współczesnego, fanatyczny miłośnik Paryża współczesnego, bulwarów, magazynów, tłumów ludowych w narodowe święto, Sekwany, podmiejskich pejzaży — wszystkiego, co oko ciągnie „świetną grą kolorów“. Pozatem absorbował go ogromnie „stary Paryż“ ze swą architekturą i sztuką—podkreślało się w nim jeszcze to ukochanie murów czcigodnych, jakie wyniósł z Krakowa, rodziła się ta pasya badacza, która później rozwinie się przy radosnej pracy odbijania tynków u św. Krzyża w ekstatyczne, wprost upojenie. Tak samo namiętnie kochał książki, czytywał dużo i z książkami swemi lubił przebywać, jak z przyjaciółmi. A przyjaciół-kolegów od pierwszej klasy gimnazyalnej miał kilku blizkich, wszystkimi zaś a nawet dalszymi interesował się mocno, chcąc, aby robili to, do czego on ich będzie potrzebował. Miał bowiem, mimo kolosalnej pracy, czas i zapał, aby myśleć — o przeznaczeniu ich i swojem. W czasie pierwszego pobytu w Paryżu nadzwyczaj blizko żył z Mehofferem—prócz tego bardzo ożywioną prowadził korespondencyę z Karolem Maszkowskim, Rydlem, Estreicherem i Opieńskim. Łączyła ich wszystkich nietylko najgorętsza przyjaźń, ale niezmiernie silne wspólne zainteresowanie intelektualne, potrzeba wymiany myśli, konieczność porozumiewania się i służenia sztuce, wiedzy, przetwarzanie życia na wartości artystyczne-twórcze. Wyspiański interesował się namiętnie pracą przyjaciół—ich postępem duchowym, stał pilnie na straży ich artystycznego rozwoju, ich ambicyi i dążeń—sam ciągle przejęty swojemi pracami i pomysłami, które wprost bez wytchnienia silił się realizować. W roku 1893 wrócił na parę miesięcy do kraju i oprócz konkursowego witrażu, robionego wespół z Mehofferem — wystawił cały szereg studyów, tych główek o niezapomnianym wyrazie, które odtąd stały się nam tak drogie i blizkie, a wtedy wywoływały zgorszenie zacnych Krakowian. Jednakże w kołach artystycznych wzbudził zainteresowanie, którego rezultatem było stypendyum na dalszy wyjazd do Paryża w formie zamówienia na witraż do katedry lwowskiej. Miał przedstawiać „Śluby Jana Kazimierza“.

Ta pierwsza jego wielka kompozycya, nad którą pracował kilka miesięcy z niesłychanym pośpiechem, aby ją wykończyć na wystawę lwowską z 1894 r. zawierała już to wszystko, co później wypowiedział w Weselu, a pierwsze dramatyczne dzieło, które w tym samym czasie przysłał Opieńskiemu jako libretto do muzyki — Daniel—na temat biblijnej uczty Baltazara, także już poruszyło ten zasadniczy, najsilniejszy ton: protest przeciw biernemu znoszeniu niewoli, wezwanie do czynu, do wiary, że Wyzwolenie już blizkie.

Mało jest bardzo znany ogółowi polskiemu ten karton, który, niestety, nie został wykonany w szkle i dotąd jeszcze czeka na zadośćuczynienie za wielką krzywdę, jaka spotkała artystę.

Przedstawia on u dołu śluby Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej — w górze Polskę rozkoronowaną, niesioną przez wszystkie stany, przez ludzi o obliczach niewolą zżartych, skarżących się niebu strasznym jękiem żałoby.

W maju 1894 roku widziałam się z poetą w Paryżu właśnie w chwili, gdy wysłał „Polonię“ do Lwowa. Wyglądał jak cień—był całkowicie wyczerpany nadmier-

---

Bo cóż? Wszystko dawało zyski tak niespodziewane i tak poważne: żyto i ziemniaki, jaja i mleko, miód i grzyby, masło i drób. Pieniądze płynęły potokiem...

Z postępem czasu rosły wymagania i—ceny. Bez żadnego zgoła usprawiedliwienia wieś i pośrednicy podnosili ceny masła, mleka, nawet tych produktów, które żadnego nakładu pracy ani trudu nie wymagają, które sama przyroda daje obficie, jak miód i grzyby.

Z rozzuchwaleniem żądano cen coraz wyższych, bo wiedziano, że:

Miasto wszystko kupi i za wszystko dobrze zapłaci.

* * *

Gdy dzieci chorzały i marły tysiącami, gdy przerażenie ogarnęło tych, co potworne cyfry chorób i śmiertelności dzieci stwierdzali—widziano jeden jedyny ratunek:

— Trzeba dzieciom dać lepsze pożywienie. Trzeba jaknajwięcej mleka, by dzieci ratować...

Wieś zaś polska—za mleko ze złym uporem wciąż podnosiła ceny.

Gdy jedna za drugą instytucye opiekuńcze dla dzieci musiały uszczuplać swą działalność, nie mogąc przy zmniejszaniu się ofiarności pokryć chciwości wsi za mleko i inne produkty—wieś polska jako jedyną odpowiedź—podnosiła ceny.

Wytworzyły się potworne zapasy: chciwości z nędzą. Wieś, jakgdyby wyciągała potworne macki polipie, by jaknajobfitszy łup zagarnąć, miasto zaś—w przerażeniu coraz to rzucało krwawy, ponury raport:

— Tysiące dzieci ginie—ratujcie dzieci!

Kwestya mleczna stała się krwawą tragedyą, raną ropiejącą narodu. Gdy mleko mogło być jedynem lekarstwem dla ratowania dzieci—demon chciwości tak opętał potwornie tych, którzy to mleko dostarczyć mogli, iż pozostali głusi i niemi na głosy rozpaczne, na ponure raporty o położeniu dzieci miasta.

W wichrach jesieni, w zadymkach śnieżnych pierwszych podmuchów zimowych rozlegał się jakby śmiech opętańczy chciwej wsi, szydzącej z niedoli miasta, z nędzy mieszkańców i—masowej śmiertelności bezbronnych dzieci.

Brutalny egoizm ogarnął wieś polską. Rzucano niekiedy ochłapy ofiarne, jakby dla zagłuszenia sumień, nie zdobyto się na serdeczną, bratnią, wolną od złych instynktów chciwości—pomoc.

Wytworzono sobie wygodne teorye egoizmu:

— Dają, więc biorę...

Albo:

— Wieś sąsiednia bierze drogo, czemuż ja mam brać taniej?...

Zaś—rzecz prosta — pośrednicy ze wsi i miasta ceny podnosili jeszcze znaczniej.

I ci, co mieli towar—z zimnem szyderstwem rzucali w oczy wszystkim:

— Mamy wszystko dla tych, co mają za co kupić...

Wytworzyła się między wsią a miastem haniebna licytacya:

— Dajemy temu, kto da więcej...

Kto zaś dać nie mógł cen potwornych, szalonych...

Na to odpowiada statystyka. Na to odpowie historya w rozdziale o chciwości wsi polskiej, wyzbyciu się uczuć ludzkich, wyuzdanej orgii spekulantów — pośredników—wyludnieniu miast polskich...

W dobie odradzania się narodu do wolnego, samodzielnego życia państwowego...

Zapomniano zbyt łatwo, że Nemezis krzywdy ludzkiej straszliwie mścić się umie.

Nadejdzie porachunków czas...

ną pracą. Dla nas wszystkich, dla których Wyspiański nie był jednym z malarzy modernistów, dziwujących snobów i gapiów krakowskich, ale był tym, który nam drogę otworzy i pokaże dokąd dążyć, dla nas — był ten moment wystawy lwowskiej — oczekiwaniem, chwilą objawienia dzieła, objawienia człowieka. Prosto z Paryża pojechałam na wystawę lwowską, i tam z innymi wielbicielami Wyspiańskiego z bijącem sercem szukaliśmy po salach wielkiego pałacu sztuki owego olbrzymiego witrażu. Niestety napróżno. Objaśniono nas na pytania, że musiał nie nadejść jeszcze. Jedynie w katalogu znajdujemy fragment dzieła.

Królewska postać Najboleśniejszej—na gronostajach dawnej świetności, z ręką bezwładnie zwieszoną przy mieczu w pochwie, z tym wyrazem ust i przymkniętych powiek, którego się już nie zapomina nigdy, ta „Polonia" jedynie nam blizka—nawet w tym małym odbiciu litograficznem—czyniła wrażenie, przejmujące do głębi duszy. Niestety wielkie to dzieło zmarnowała karygodna niedbałość komitetu wystawowego i bezczelne zarozumialstwo, połączone z nieuctwem komisyi katedralnej.

(D. n.)

W KALEJDOSKOPIE SCENY.

Tydzień poświąteczny obfitował w premiery teatralne.

Po „Księciu Józefie Poniatowskim" Jana Adolfa Hertza, w której to sztuce święcił tryumf Węgrzyn w roli tytułowej, a dzielili z nim powodzenie pp. Szylinżanka i Śliwicki („Książę Józef" dał z górą 80,000 mk. dochodu z trzydziestu kilku przedstawień—cyfra niebywała, imponująca!)—weszła na repertuar teatru Rozmaitości od dłuższego czasu zapowiadana „Konstytucya" Bolesława Gorczyńskiego.

I znów byliśmy świadkami sukcesu, jaki autor polski na pierwszej scenie polskiej osiągnął. Sztuka napisana z talentem, grana świetnie przez zespół artystów, z Frenklem na czele, nieprędko też zejdzie z repertuaru, co da nam możność omówić ją szerzej przy następnej sposobności; dziś zaznaczamy tylko, iż autor „Nocy lipcowej", „Bagienka" i „Wyzwania" nie potrzebuje się wstydzić ostatniej swej pracy.

W teatrze Polskim ma powodzenie komedya Dumanoir'a i D'Ennery'ego „Don Cezar de Bazan". Historya butnego szlachcica hiszpańskiego, zawadyaki i bohatera, ot coś z Cyrana de Bergerac lub Kawalera d'Artagnana, aczkolwiek ci dwaj posiadali prócz dziarskości, odwagi i rycerskości — jeszcze i chytrość, przebiegłość w wyższym stopniu, niż don Cezar. Historya romantyczna, ujęta w ramy stylowego obrazu, zamknięta w pięciu krótkich odsłonach, malownicza, pełna humoru niedzisiejszego i niedzisiejszych przygód.

Teatr Polski wystawił „Don Cezara de Bazan" starannie, a młody, artysta p. Jan Kochanowicz wyreżyserował sztukę z dużym nakładem pracy. Mimo widoczną staranność, jednak sztuka nie szła dość gładko, może dlatego, iż obsadzona była niezupełnie właściwie, w grze nie było jednolitości stylu i tonu. P. Gasiński miał w roli tytułowej doskonałe momenty, aczkolwiek zasadniczo niezupełnie uchwycił ton, łamał się i chwiał, był nierówny. Don Cezar w interpretacyi tego świetnego artysty był za bardzo komiczny, a za mało bohaterski, pierwiastek rycerskości nie był wydobyty należycie. Dopiero w akcie 5—stanął p. Gasiński na wysokości zadania w scenie z królem Karolem II. Władcę Hiszpanii grał p. Kochanowicz trochę za miękko, za lekko. Maritaną wdzięczną i miłą była p. Janiczówna; ujawniła w grze dużo szczerości i prostoty, aczkolwiek tę wyborną artystkę, wolałbym widzieć w innej roli, która dałaby jej sposobność większą do wykazania wszystkich zalet jej gry, zawsze starannie opracowanej. P. Słubicka zupełnie dobrze zagrała rolę margrabiny, mniej mi się podobał jej mąż—p. Danielewski.

I rola don Josego de Santarem niezupełnie trafnie dostała się p. Żyteckiemu, aczkolwiek i tu znać było staranność w opracowaniu. Dobrym Lazzarillem był p. Bonecki, aktor młody, lecz bardzo zdolny, który w epizodzie nawet potrafi zaznaczyć swoją indywidualność, jak to już nieraz zaobserwowaliśmy.

W teatrze Letnim doskonała satyra Nagy'ego „Pan minister" podoba się ogólnie i bawi publiczność. Pomysł farsy—wyborny, ujęcie dość oryginalne, tło podmalowane wybornie i wyraziste typy—oto zalety sztuki. Przygoda pana ministra, który nagle zasłabł, zabłądziwszy do domu urzędnika pocztowego, mającego piękną i młodą żonę—staje się kopalnią złota dla tegoż urzędnika, który umie wykorzystać sytuacyę drażliwą, choć w gruncie rzeczy zupełnie niewinną.

Grana jest farsa Nagy'ego nieźle, p. Gryficz-Mielewska wygląda bardzo ładnie, a gra poprawnie, dużo momentów w grze bardzo dobrych ma p. Grabowski. Ładnie zagrała scenę z doktorem w akcie 3 p. Belina. Pełną godności, dystynkcyi i wdzięku hrabiną była p. Leszczyńska. Typ przejaskrawiony nieco, lecz w charakterystyce dosadny i arcykomiczny stworzył p. Małkowski. Wybornie sylwetkę naczelnika biura naszkicował p. Trapszo. Resztę obsady z powodzeniem dopełniali pp. Micińska, Kuncewicz, Orłowski, Tarczyński i in.

Stylową komedyę Schönthana „Hrabina Oczko" wystawił teatr Mały. Miła, pogodna, pełna sentymentu powiastka o dwuch parach, które dążą ku sobie i znajdują szczęście w miłości wzajemnej. Epoka dyliżansów pocztowych, wlokących się po pustych gościńcach od miasteczka do miasteczka, przez ciemne bory, w których zaczajony bandyta czyhał na worek podróżnego, epoka bohaterskich jenerałów, którzy „na polu walki zdobywali reumatyzm i ordery"; wytwornych adyutantów, rachujących na spadek po zreumatyzmowanych wujaszkach-jenerałach, epoka nieco naiwnych miłosnych zachwytów kuzynek i kuzynków i t. d. i t. d.

Dużo słonecznej pogody, dużo naiwnego wdzięku, prostoty i wesela... całość trochę ckliwa, ale ładna.

Najlepiej grali pp. Mrozińska i Kindler. Szczęśliwie zdołali uchwycić ton komedyi, mieli poczucie stylu, dużo humoru, dużo pogodnej wesołości. Małe swoje rólki—dwojga zakochanych kuzynków — starannie odegrali pp. Krystyńska i Ratowski. Mniej trafnie zarysowali swoje role pp. Górska, Buszyński i Neubelt.

Na ostatku słów parę o ciekawej, bardzo inteligentnej grze p. Stanisławskiego, współdyrektora teatru łódzkiego—w „Kaliguli". Postać tytułowego bohatera pojął p. Stanisławski może nieco inaczej, niż p. Solski, uczynił go jeszcze bardziej histerykiem, lecz nadał mu pewne cechy gwałtownika i okrutnika. Grał świetnie, w niektórych scenach porywał,—lecz trochę nierówno. Jako Lollia—wystąpiła p. Bończa; miała dobry gest i postawę, lecz chwiała się w ujęciu i przeprowadzeniu roli, głos jej nie dopisywał, a dykcya raziła niemiłym akcentem. Quintillię grała miło p. Hryniewiczówna, a Regulusem był p. Benda: miał dużo szczerości i parę momentów bardzo mocnych i dobrych, lecz naogół biorąc kreacya p. Mierzejewskiego była bardziej skończona, wyrazistsza i bardziej jednolita.

Teatr Praski wystawił z powodzeniem „Chorego z urojenia" Moliere'a z p. Zejdowskim w roli głównej.

Tad. Kończyc.

Prawa wyborcze kobiet w Austryi.

Z Wiednia donoszą do „Berliner Abendpost": W wiedeńskich kołach parlamentarnych krąży pogłoska, że rząd austryacki zamierza, zaraz po ukończeniu wojny, wnieść do parlamentu projekt prawa, zapewniającego kobietom w Austryi bierne prawa wyborcze do sejmów. Przez projekt ten rząd zamierza uprzedzić życzenia austryackich kół socyalistycznych, które wobec powodzenia dążeń wyborczych kobiet, postanowiły żądać równego i bezpośredniego prawa wyborczego dla kobiet austryackich.

NA PROGU.

Za nami zmora pogrzebanych marzeń — — —
rozbity w drzazgi narodowy byt — — —
Dziś w krwawem paśmie przewlekłem wydarzeń
twarz obłąkaną jawi stary mit!
Ciężka ta chwila ponownych narodzin!
O śnie Bojana, jaw się prędzej, jaw!
Śród krwi tumanu, gromów obcych wrzaw
Pokaż narodzie, żeś żyć jeszcze godzien!...
Tyś się już zbudził ciężki śnie Bojana,
pełen splendoru, tak wzniosły, tak dumny,
że skrzydłem bijesz w wieko ciężkie trumny,
lecz... skrzydło twoje—jedna wielka rana...
Wczoraj—pierś twoja obolała... Ninie
krwi ścieka strugą... Dość już mąk tych, dość!
Czas już raz spocząć mężny Gedyminie!
Czas, by w próg wkroczył pokój, miły gość!...
Ohyda gwałtu przytłoczyła dusze — — —
Dość piekła, zmory, dość tych niecnych mąk!
...Gdzieś zczezła duma, zgasły pióropusze!...
Pieśń obca, dzika dziś rozbrzmiewa w krąg — —
Czas ukołysać i ukoić bóle!
Zabliźnić grozę ropiących się ran — — —
Wyjść z sierpem srebrnym w pozłociste pole,
po znojnej pracy pójść w ożywczy tan!
Czas, by już skrzydła, co dziś—krwi Golgotą,
nie biły próżno w wieko sine trumny!
Czas, by nad nami lśniło słońce złote...
szczęście kreśliło w blasku źrenic runy — — —
Czas, by w tej chwili bolesnej narodzin,
naród wolności stał się swojej godzien!...
. . . .
Tak żmudnie płynąć przeciwko prądowi — — —
strudzonych ramion wysiłek tak płony...
Marzymy sennie... Przyszli narodowi
narody obce bić setne pokłony...
...Skrzydła rozwarte!... Hen, szerokie szlaki
otworem stoją aż po kresy Litwy,—
wszędy, gdzie polskiej krwi już kwitły maki,
gdzie z wrogiem ongi już były gonitwy!
. . . .

Tak słodko marzyć, kiedy fala mętna
zalewa usta, ciągnie śmierci toń — — —
Bezpłodność marzeń bywa tak ponętna
gdy pierś zbolała i strudzona dłoń!
Pomnij narodzie! Twarde, żmudne szlaki
czekają żywych! Zmarłych rzeczny piach!
Niech życie wiodą marzeń święte znaki,
niech rzeczywistość jawi się we snach!...
Otwórzcie oczy! Ran i zniewag tyle!
Tam od nas wszystkich oddzielony kratą
żyje, sny przędzie—w lochu, jak w mogile
Achilles Polski i spętany Kato . . . .
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
Wytrwajmy bracia! Wytrwajmy w zadumie!
Z zapamiętania mąk nie bierzmy jadu!...
Przyjdzie—przyjść musi—w srebrnych piór poszumie
zwycięstwo — — pryśnie królowanie czadu — — —
Patrzcie, o jaśni rycerze bez broni
Wróg—słabość pierzcha! Męstwo już ją goni.
. . . .
Tak słodko marzyć i tak niebezpiecznie — — —
Przeszłość za nami stała Targowicą — — —
Chwila dzisiejsza trwać nie będzie wiecznie;—
wrazi się—jeno—w pamięć błyskawicą...
Wyjdziemy z bitwy obolali srodze,
w zbroi pomiętej i zbroczonej krwią,—
z raną na piersiach, z zasępioną brwią,—
z duszą w spiż skrzepłą w bolesnej pożodze — — —
I jeśli kiedy stanie nam na drodze
lęk, małość serca, łza krwawiąca może
słabość lub zniewag nagłych zawierucha — — —
Przysięgę złóżmy! Krwi przelejem morze,
ale nie damy trunom więzić Ducha!

Bolesł. Zygm. Lubicz.

31 XII 1917.

ZOFJA R. NAŁKOWSKA.

Sielanka.

I.

Miałyśmy wtedy jeszcze obie mało lat i nasz dom stał na górze w lesie zupełnie sam. Można było długo iść w różnych kierunkach i napróżno szukać człowieka—bez żadnych zresztą niesmacznych żartów dyogenesowych, ale poprostu dlatego, że nikogo tam nie było. Z okien też nie widać było siedzib ludzkich—oprócz jednej, daleko, za łąką i polami, chałupy i stodoły Nowaka.

Był dom, był las, trochę zwierząt — a pozatem już tylko psychologia. Zupełnie, jak w skandynawskiej powieści.

Były też niewątpliwie rozmaite głębokie tajemnice, schowane w różnych kielichach kwiatów, w jednym krzaku leszczyny, z którego wycinało się najgrubsze gałęzie na łuki, w stawie, leżącym na końcu lasu, gdzie był utopiony pies, a zwłaszcza pod wielkim kamieniem w bardzo głębokim i dosyć wązkim rowie granicznym, zarosłym od wałów aż po dno zupełnie już dużemi sosnami.

Ściany rowu były z piasku, a na dnie mokrem i zielonem rósł mech i sitowie. Wiosną huczała tam w dole bystra woda, dwiema stronami omijająca ów kamień i rozszerzała się w tem miejscu, jak pierścień na przyjęcie perły. W związku z tym kamieniem mogły się były odbywać zdarzenia doniosłości niezmiernej — w jakieś noce pochmurne i zarazem księżycowe. Wszelako nie odbyły się nigdy.

Kamień rozsadzono dynamitem i w gruzach zawieziono do miasteczka na bruki, rów podzielono między nowych właścicieli. Ale w miejscu, gdzie leżał niegdyś ów kamień, pozostał na zawsze głęboki, rozmyty wertep, na wiosnę pełen huczącej wody, która już nie miała czego obejmować ślicznemi, młodemi, chłodnemi ramionami.

Ten rów dalej szedł na łąki i tam robił się płytki, cienisty, zielony, pełen kwiatów — zupełnie inny. Na brzegach rosły tylko olszyny, i to dosyć rzadko. Bliżej lasu kwitło tam na wiosnę mnóstwo białych anemonów, a dalej, głębiej w łąki — złote kaczeńce, kwiat ukochany dzieciństwa, wychodzący z wody w chłodne, wietrzne dni kwietniowe.

Kaczeńce najdziwniejsze były właśnie wtedy, gdy w wodzie odbijały się chmury granatowe, a one razem z bladą, młodziutką trawą wodną wyglądały tak, jakby wciąż jeszcze świeciło słońce. I im chmurniejsze było niebo i woda, tem bardziej one były pogodne.

Najważniejsza jednak była uroczystość pierwszych sasanek, dużych, kudłatych kwiatów fioletowych, obrosłych szarem futrem. Gdy się zjawiły, to znaczyło, że już jest początek. Kwitły co roku w tem samem miejscu, między starą sosną i małemi jałowcami, na największej górze, od północy. Czasami niedaleko od nich leżał jeszcze śnieg.

Trzeba było dosyć daleko iść boso wzdłuż tego rowu po łące, żeby dojść do jednych wierzb, które tylko tam rosły. Miały baśki wcześniej, niż inne wierzby i do tamtych niepodobne, zupełnie okrągłe, jak kulki, puchate, złote i pachnące tak przecudnie, że nosa od nich nie można było oderwać. Pachniały zupełnie, jak bez, tylko jeszcze ładniej, daleko ładniej. Po te kotki chodziłyśmy czasem jeszcze jak woda była bardzo zimna i później miałyśmy nogi okropnie czerwone i szczypiące.

Zdarzały się inne jeszcze rzeczy, też bardzo ważne, dające na długo niewyczerpany materyał do rozmyślań.

Takiem zdarzeniem w naszem życiu był pewien zając, który raz zasnął pod sosną niedaleko nawet od domu i wcale nie zauważył, żeśmy do niego podeszły. Myślałam, że jest chyba chory albo może oswojony, uklękłam przy nim na suchych sosnowych igłach i pogłaskałam go po łbie. Do dziś pamiętam, jaki miał miękki i ciepły puch na czole i między uszami. Wcale nie był chory, bo jak się obudził, to dał takiego susa, żeśmy jeszcze przez chwilę stały naokoło pustego miejsca, nie wiedząc, co się zrobiło. A on sadził przez krzaki, że aż góra dudniała.

Kiedyindziej znowu pokazałyśmy jednej z wielu wiewiórek, wałęsających się po naszych drzewach, zdaleka parę orzechów na dłoni. Wiewiórka siedziała dosyć nizko na akacyi, schyliła łeb i trochę się przyglądała. Wreszcie powoli, powoli zeszła na pień i ostrożnie, z głową nadół, wyciągnęła pysk do tych orzechów. Z bijącem sercem, pełna wzruszenia i niedowierzania, podałam jej jeden orzech, a ona wzięła go w zęby i na trochę wyższej gałęzi spokojnie zjadła.—Później zeszła jeszcze po drugi i po trzeci orzech, a kiedy miała dosyć, to się pomieszała z innemi wiewiórkami i nie można jej było poznać. Pokazywałyśmy później orzechy różnym wiewiórkom, ale żadna nie tylko nie zeszła do tych orzechów, ale nawet nie zwróciła na to żadnej uwagi.—Co to było, dotąd nie wiem — i w długich naszych rozmowach we dwie naprózno nieraz usiłowałyśmy tego dociec.

D. c. n.

LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

I zdawało jej się po raz pierwszy, że z goryczą myślała o swem ubóstwie. Odpowiadała półsłówkami na komplementy Zagórskiego, nudził ją i dziwnie drażnił. Zygmunt zauważył brak jej humoru i zapytał czy nie jest bardzo zmęczona, gdyż możnaby odpocząć w chatce leśnika. Nina upewniała, że nie jest zmęczona, lecz Jerzy zaproponował, żeby napić się świeżej wody i zbliżyli się do leśniczówki. Na progu stała młoda, ładna dziewczyna, w białej chusteczce na lnianych włosach, błyskając z daleka ciemnemi oczami.

— Jak się masz Kostka, a ojciec w domu?—rzucił z konia Zygmunt.

— Gdzietam, w lesie, — odpowiedziała, ukazując w uśmiechu szeregi białych zębów.

Jerzy z zaciekawieniem przyglądał się dziewczynie, która wyzywająco spoglądała na pięknego panicza, zakrywając nibyto wstydliwie twarz, to znów zerkając z boku.

— A o wodę mógłbym poprosić,—zwrócił się do niej z uśmiechem Jerzy, — tak gorąco...

Dziewczyna znikła prędko w ciemnej izbie, a po chwili przyniosła wodę w czystej szklance i podała ją, mówiąc:

—O dlaboga, nie sięgnę taki wielgachny koń.—Oboje roześmieli się do siebie. A Zygmunt poprawiając coś przy uzdeczce Stelli szepnął Ninie:

— Niepoprawny bałamut, ot i teraz nie może się powstrzymać, by nie zaczepić dziewczyny.

Nina uśmiechnęła się ironicznie.

— Prawdę mówiąc, to ona go kokietowała, ale cóż panu przeszkadza niewinny ten flirt?

Zygmunt zmieszał się.

— Ależ mnie to obojętne, tylko myślę, że przez wzgląd na panią Jerzy mógłby być powściągliwszym.—Roześmiała się serdecznie. Jerzy był jej najzupełniej obojętny i cieszyła się nawet, że zajęty czem innem nie dręczył jej swem towarzystwem.

— Czy uważa mnie pan za taką gąskę? lub może obawia się pan, że widok ten mnie zgorszy? Zapomina pan, że mam dwadzieścia jeden lat i że wychowałam się w Paryżu.

Zygmunt odparł:

— O, z pani bardzo oryginalna osóbka, nasze panny są zapewne dość uświadomione, ale ręczę, że każda z nich udała by przynajmniej wielce zażenowaną. A pani mówi o wszystkiem tak śmiało, nie będąc ani zalotną, ani próżną...

— Nie rozumiem, co może być za wspólność między szczerością a chęcią podobania się, zresztą myli się pan trochę. Na moje wychowanie złożyły się dwa czynniki, sześć lat dziecinnych spędziłam na wsi ze starym wujem — i naturą. Oboje nie umieli kłamać i nie nauczyli mnie tego, dla tego nie umiem udawać i może czasem wydaję się zanadto szczerą; ale dorosłam w gwarze miasta, między licznemi koleżankami, i nie byłabym kobietą, gdybym nie myślała trochę o swym wyglądzie. Tylko, że nie czynię z tego celu życia, oto wszystko. Widzi pan teraz, że ze mnie zupełnie przeciętna panna, czy nieprawda?

Rozmawiając nie zauważyli nawet, że odjechali kawałek naprzód i dopiero tentent galopującego konia zatrzymał ich.

— A to się państwo daleko zapędzili wołał Jerzy. Tuman aż mokry od potu tak go gnałem.—Na twarzy ładnego chłopca nie znać było ani śladu zmieszania, przystanął, zapalił papierosa i, nachyliwszy się do Zygmunta rzucił:

— Ta Kostka ładna szelmutka i zaczepna, no, no, stary jej nie upilnuje, zanadto lubi oczkami zawracać.

Zygmunt szarpnął się nerwowo.

— Nic mnie to nie obchodzi, a i tobie radzę nie zaprzątać sobie nią głowy,—a ciszej dodał—uważaj, że jesteś w towarzystwie młodej panny.

Ładna twarz Jerzego spochmurniała, a gniew zabarwił rumieńcem jego policzki.

Zygmunt w roli mentora, myślał oburzony, także coś nowego a i ta panna z tym swoim ironicznym uśmieszkiem działa mi na nerwy; pewnie zepsuta, a udaje niewiniątko. Nie myśli krępować się ciągle, a przytem chce ją trochę upokorzyć, nie przyzwyczajony jest do tego by go kobiety tak traktowały, jak ta blondyneczka! Dolną wargę wysunął z dąsem jak małe, złajane dziecko i po chwili spojrzał na Ninę. Ale na jej twarzy nie wyczytał ani nagany ani obrazy, nie patrzyła na niego wcale, trąciła lekko klacz i pomknęła kłusem naprzód, zostawiając obu panów. Milczeli—Zygmunt niezadowolony z przejażdżki, Jerzy trochę zawstydzony i zirytowany. Jakże ona nim pomiata, ta paryżanka, nim, ulubieńcem kobiet. Wczoraj gdy na dzień dobry powitał ją komplementem, zmierzyła go od stóp do głów wzrokiem obrażonej królowej, a kiedy przyszedł niespodziewanie gdy grała, wstała spiesznie, zamykając mu przed nosem fortepian. Szarpał gniewnie drobne wąsiki, zagryzał ładne usta, szepcąc do siebie: — paryżanka, więc mądra i wyrafinowana, chce mnie wziąść na obojętność, ale poczekaj, panienko i na ciebie przyjdzie kolej.

Przez cały wieczór Jerzy był bez humoru, palił nerwowo papierosy i marszczył brwi. Nina przeciwnie zdawała się bardzo rozbawiona, flirtowała z sąsiadem myśliwym, który o szarej godzinie przyjechał na pogawędkę, i dała się nawet uprosić przyjaciółce, grając przez godzinę melodyjne utwory Szumana. Pani Iza szczerze zachwycała się Niną, i w swej pięknej główce planowała małżeństwo Jerzego z Niną, i postanowiła wciągnąć męża do tego spisku. Ale jakież było jej zdziwienie, gdy on zwykle tak pełen dobrych chęci, trochę szorstko odpowiedział jej, iż uważa, że Jerzy nie jest odpowiedni na męża dla Niny.

— Dziwię się—mówił—że mogłaś o tem pomyśleć, Nina taka wrażliwa, inteligentna i poważna, Jerzy kobieciarz i lekkoduch, dobrana byłaby z nich para — tu zaśmiał się trochę drwiąco.

— Ależ, Zygmuncie broniła się Iza, mówiłeś przecież sam, że Jerzy się zmieni, że...

— Tak się mówi—przerwał—ale... zresztą zapewniam cię, że oboje o sobie nie myślą.

Pani Iza nie nalegała więcej, ale cień

jakiś padł na jej zwykłą pogodę. A taka była przejęta tym swoim projektem. Nie ma dzieci, zatem wyposażyłaby Ninę, a ona musiałaby przyjąć to jak od rodzonej matki. A taka ładna byłaby z nich para, ludzie oglądali by się za nimi w kościele, tak jak dawniej za nią i za Zygmuntem...

— Czas leci—pani Iza westchęła cicho usypiając, i jakiś lęk nieodgadniony przeszedł ją drżeniem, nasuwając na oczy widmo znikającej młodości.

V.

Nina nie myliła się mówiąc, że gdy zakwitną róże na murach zameczka, będzie wyglądał jak ten domek z bajki, w którym to zasnęła Boule de neige, zanim ją zbudził królewicz.

Ale na otomance pomiędzy kwitnącemi różami werandy spoczywała w śnie pogrążona cudna kobieta, tak mało podobna do złotowłosej dziewczyny, a i królewicza, któryby ją zbudził nie było.

W drzwiach stanęła smukła postać panienki, w skromnej batystowej sukience, z pękiem ponsowych róż w białych rączkach. Łagodnym ruchem postawiła kwiaty w koszyczku na stole, i cicho usiadła obok. Miękkiem spojrzeniem objęła spoczywającą przyjaciółkę, jej alabastrowe czoło, lekką przecięte zmarszczką, klasyczny profil, twarzyczkę ocienioną długiemi rzęsami i gęste pukle czarnych włosów. Jeden promień opadał na twarz śpiącej, i widocznie drażnił ją, gdyż podniosła rękę, obudziła się nagle, i spostrzegłszy Ninę uśmiechnęła się do niej serdecznie.

— Chodź tu pieszczotko, i powiedz mi czy długo tak spałam? pewnie uważasz mnie za leniuszka, prawda, ty moja pilna mrówko?

Nina pogroziła jej żartobliwie, odrywając oczy od zmudnego haftu, który pochłaniał jej uwagę.

— Oczy stracisz, zostaw to Marcie, ona ma tyle wolnego czasu, ale widzę, że chcesz koniecznie wkraść się w łaski starego proboszcza, a może przez to przekonać go do idei wikarego, które przyznaj, są także twemi.

— Nie kryję się z tem bynajmniej, chcę skończyć haft, żeby pod tym protekstem, porozmawiać o poważnych kwestyach, nie tracę nadziei, że go przekonamy. Dlatego stułę muszę mieć gotową.

IZA BRONIKOWSKA.

Sâdhâna

(Urzeczywistnienie życia).

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

— On taki jeszcze dzikus; znać, że dopiero w tym roku tu przyjechał. Narowów się jeszcze nie wyzbył. Jak nie może wytrzymać, to krzyczy.—Czasem mi tak po całych nocach ryczy—wyje, aż się zmęczy. Ludożerca!

Rozmowy przyciszone i głośne popłynęły dalej. Pojedyńcze pary oddzielały się.

Pracownia była istnym składem artystycznych rupieci. Na ścianach, wśród fałd barwnych tkanin, wisiały reprodukcje wszystkich oklepanych obrazów świata. Każdy mebel był podrobiony w innym z Oxfordzkich sklepów starożytności, gdzie tak się już poznano na wysokim artyzmie Mieronicza, że „przez grzeczność" sprzedawano mu po zniżonej cenie „autentyczne": fotel z 16-go wieku, biurko, przy którym pisywał Swift, półeczki po Samuelu Johnsonie. Co prawda, Mieronicz pokazywał te „curiosa" tylko świeżo przybyłym do Oxfordu cudzoziemcom lub rodakom; dla znajomych Anglików miał w ukryciu „fajkę po księciu Józefie", „kozik Kościuszki" lub „stalówki Mickiewicza". Jedynie piękne sztychy Bartolozziego, w których malarz szczerze gustował, ratowały honor pracowni. W głębi, na olbrzymich stalugach, królowała, jeszcze nie wykończona „Wiochna", leniwie wyciągnięta podczas żniwa na kopcu żyta—obstalunek miłującego egzotyczną sztukę Lorda Cadogen.

— Ja bardzo, niezwykle pięknie proszę o bajkę!—Czau, z pełnym kieliszkiem szampana w ręku podszedł do okna, i zgina się przed Astrid w wersalskim ukłonie.

— Bajki — bajki.

W powodzi niebieskiego światła, skupili się koło Astrid, jak mary zwiewne.

Dzieci proszą, smutne już prawie i znudzone sobą—w wiecznej, chorobliwej pogoni silnych kontrastów i artystycznych wzruszeń.

— Bajki—dobra—cudna! Bajki...

Ania sadowi się wygodnie na otomanie w głębi; Rahju u jej stóp.—Już zasłuchana w mającą nadpłynąć, srebrzystą falę głosu—podpiera policzek na dłoni i marzy nad dziwną — dziwną rozmową, którą znów rozmyślnie, — chętnie nawet, prowadziła z Rahju.

W błękitnych plamach oświetlenia, wydaje się teraz Indusowi śliczną, jak umarły cud.—Astrid mówi.

Siedząc w oknie, jedynym wdzięcznym ruchem smukłych rąk oplata kolana. Granatowe, smutne oczy patrzą daleko—w siebie.

Wlewa im oto w duszę słodycz dziwną, mocną, jak woń zroszonych kwiatów—ból przeszywający wysokich skrzypcowych treli. — Żal jakiś rozwlekły — smutny, co łka sennie po nocach, że to już minęło. Tęsknotę szaloną, po rzeczach pięknych i porywających, które czują jeszcze, przytulone w duszach, a których nie umieją już nawet nazwać.

„Był raz sobie we Francyi Margrabia de Salière. Mieszkał w dumnym, czerwonym zamku o głębokich krużgankach i wieżach strzelistych, o dziedzińcach więzionych murem basztowym. W basztach były strzelnice, a za murem głęboka fosa—pełna czarnej, mętnej wody.

Na dziedzińcu odbywały się czasem turnieje. Zakuci w świecące zbroje rycerze, goście dostojni Margrabiego, walczyli z sobą o pierścień sadzony djamentami, o łańcuch złoty lub o pierwszeństwo w sławie. Parli na siebie dzielne, spienione rumaki i łamali z trzaskiem kopje drewniane, — a w oknie komnaty dziewiczej stała cicha Margrabianka Yolanda de Salière z twarzą białą pod ciężkiem jesiennem złotem włosów.

Obracała w palcach bladych, jak płatki róż, puszyste końce warkoczy i patrzyła sennie. Rzęsy rzucały jej na policzki długi cień, a maleńkie, okrągłe usta krwawiły się smutnie. Czasem tylko, gdy rumak jaki, zraniony drzewcem — zachwiał się nagle i rzężąc, runął, cielskiem potężnem rycerza przywalił, rycerza zakutego w ciężką żelazną zbroję; gdy drugi rycerz schylał się nad nim, w półdumny, w półżałosny, a z krużganków zbiegali pędem przerażeni giermkowie, wtedy Yolanda, nie podnosząc oczu, uśmiechała się leciutko, a cień złotawych rzęs drgał jej figlarnie na gładkich policzkach.

Siadała za stołem ojca swego, strojna w szaty z jedwabiu, lub brokateli, obcisłe, o barwie morza, niebios, lub jutrzenki, przepasane dwa razy na smukłych biodrach bisiorem pereł. Sznury mleczne pereł miała też powplatane w świecącą przędzę włosów, a krzyż brylantowy i gruby różaniec na śnieżnych piersiach.

Rycerze, jedząc ze srebrnych mis tłuste ptactwo i zwierzynę, opowiadali przy

ucztach długie i trefne historje o czynach swych, w boju i w miłości spełnionych. Mówiąc, ciskali odpadki kości i sadła psom swym, oraz dwom uciesznym pokrakom, karłom Margrabiego. Czasem, gdy im już upał i wino umalowało marsowe twarze czerwienią i potem, drażnili i szturchali opasłego braciszka Bernardyna, który przy końcu stołu cicho siedział, albo, z puharami w ręku, klękali przed Margrabianką. A Yolanda, nie podnosząc powiek, patrzyła na rdzawy jedwab warkoczy i na palce swe, długie, nieuchwytne i białe, jak śnieg w przedwieczornem słońcu. Szeptano o niej na zamku, że ma złe oczy — złote.

Był na zamku Margrabiego pachoł, Jagnot, ułomny trochę i brzydal straszny. Nosił czerwoną i czarną liberję de Salière i podawał przy biesiadach półmiski pełne pieczonego mięsiwa i tłustości, i omszałe, brzuchate gąsiory z winem.

W kuchni, kuchciki szydzili z niego, mażąc mu sadzami szatki, lub podstawiając mu psotnie nogę, gdy w chudych ramionach dźwigał ciężki półmich na salę. Rycerze, podochociwszy sobie za stołem, dawali mu na wyścigi szczutki w nos, lub kopali go ze wzgardą, jak psa. A Jagnot łaził niby smoła w koło stołu, wiecznie trochę zaspany i uśmiechnięty głupawo do myśli, czy snów swoich. I niktby pewnie na zamku nie odgadł, że pachoł marzy tak o słońcem haftowanych warkoczach Margrabianki, że mu się w nocy, na barłogu ze słomy, marzą pocałunki, składane na białem czole, między jasnemi smugami brwi.

I marł ze szczęścia Jagnot, gdy mu Yolanda rzekła raz cicho po uczcie, aby codzień, nad ranem, nim świt zabieli niebo, do drżwi jej komnatki pukał.

Trząsł się, jak liść z onej radości wielkiej, kiedy mu Margrabianka sama otwierała misternie okute drzwi dębowe, smukła, jak kwiat, w gieźle białym i, gdy, na długiem mocnem powrósle, przez okienko trójlistne, w murze wykrojone, wystrachanego młodzieńca spuszczać jej pomagał.

On-ci to rycerz, jak młody grab wybujały a gibki, z głową w długie, wonne pierścienie włosów strojną, a z twarzą pobladłą dziwnie i drgającą w pierwszych blaskach świtania, rzucał pachołkowi trzos ciężki i spojrzenie nieufne i — powoli — ostrożnie, stopami szczelin muru szukając, po powrósle na ziemię się spuszczał i znikał.

A Yolanda, siedząc potem wśród niedźwiedzich białych skór i płócien cienkich, tarła dłońmi stopy zróżowiałe i przeziębłe od chłodu kamiennej posadzki — i dziękowała pachołkowi łaskawie, głosem pieściwym i wilgotnym jeszcze od nocnych całowań.

I schodził Jagnot po omacku z wieży, po schodach cicho stąpając, własnym swym szczęściem pijany i chwiejny.

Wydarzyła się Yolandzie, córce Margrabiego de Salière, z pobożności i miłosierdzia na całe hrabstwo sławnej,—rzecz straszna, Boży dopust snać, za jakoweś pradziadów grzechy, a winy skaranie!

TREŚĆ NUMERU:

Polecamy miłosierdziu Szanownych Czytelniczek, biedną, chorą staruszkę, bez środków do życia. Ofiary przyjmuje adm. naszego pisma pod literami M. Ż.

OGŁOSZENIA.

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.** Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.



№ 1. **Sukienka dla dziewczynki od 9—12 lat.** (Szkic № 1 *a* i *b*). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



Szkice: № 1 a. № 1 b. № 3. № 4. № 2.



№ 2. **Oryginalna, zimowa sukienka dla dziewczynki od 6—12 lat, przybrana guziczkami i grubym haftem.** (Szkic № 2). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

NASZA POGAWĘDKA.

„Heureux temps, où mes pieds, dans leur folle vitesse, semblaient ne pas poser sur le parquet glissant, oú mes regards, n'ayant ni langeur, ni tristesse...“—wzdycha dziś niejedno młode serduszko, wspominając uciechy karnawałowe, na które wojna zarzuciła kiry. A że młodość ma swoje prawa—więc na te westchnienia odpowiada się pobłażliwym uśmiechem, — bo czyż można gniewać się na promień słoneczny, że chce się przedrzeć przez ciężkie chmury,—bo czyż i te wszystkie młode dusze, których zawierucha światowa nie rzuciła bezpośrednio w wir trosk i cierpień, którym litościwy los oszczędził przejść bolesnych—mają się pogrążać w smutku i żałości? Nie dziw więc, że budzą się miłe wspomnienia, a z niemi ochota do rozrywki—zwłaszcza tam, gdzie środki materyalne nie stoją na przeszkodzie. I dzisiaj—teraz w czasie karnawału—jeśli tak powiedzieć można,—„jak ptaki do lotu“—tak młodość zrywa się do „niewinnej“ zabawy—do tańca.

Choć trochę, choć w małem kółku, po „domowemu“ — aby się trochę rozerwać, poprawić humory — zapomnieć... Zapewne... Każdą rzecz można obronić, tak ją oświetlić, aby widoczne były tylko dobre strony, i znaleźć właściwe i przekonywujące argumenty. Tak jest z tańcem. Czyż istotnie jest w tem coś złego, niewłaściwego, gdy się dziś młodzi trochę pokręcą? Czy inne rozrywki — teatry, rauty dobroczynne, towarzyskie zebrania, nie są równie niestosowne w dzisiejszej chwili? Być może. Ale teatry dają pracę tysiącom ludzi a widzom artystyczne zadowolenie, nadto nieraz bywają czynnikiem kształcącym. Rauty mają zawsze cel jakiś, który je okupuje,—zebrania towarzyskie—dziś, zresztą, w bardzo skromnym zakresie, bez blasku dawnych, wystawnych przyjęć, — są niejako koniecznością życiową. Czyż można pozbyć się wspólnej wymiany myśli z ludźmi, z którymi łączy nas przyjazny stosunek i odmówić sobie godzinki pogawędki w miłem otoczeniu? Sama żywotność nasza tego wymaga,—niepodobna zasklepić się w swych kłopotach i własnych sprawach, — niepodobna nie oderwać się ani na chwilę od codziennej pracy—aby w obcowaniu z ludźmi znaleźć chwilową rozrywkę. A zresztą—ileż to jeszcze innych, mniej może „idealnych“ celów stwarza konieczność podtrzymywania towarzyskich stosunków.

Czyż taniec, jako wyraz uciechy, (boć nią jest bezwzględnie, czy taneczna zabawa ma szerszy czy mniejszy zakres) — może dziś znaleźć usprawiedliwienie? Może ta uciecha nie jest ani tak bardzo niewłaściwa, ani tak karygodna, by ją piętnować jako grzech, jako plamę na



№ 3. **Suknia ślubna z marszczoną bluzką i podwójną spódnicą.** (Szkic 3). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

№ 4. **Suknia z dwóch materyałów, z białą jedwabną, haftowaną kamizelką, przybrana haftem i frendzlą, odpowiednia dla matki panny młodej.** (Szkic 4). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.



№ 5. **Suknia z tafty, przybrana ciemniejszą materyą, maszynowym haftem i guzikami.** (Szkic 5). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

sumieniu tych, którzy ulegają czarom tańca—dziwić się można jednak, że są tacy, którzy dziś znajdują nastrój do tego wyrazu uciechy, ową beztroską niefrasobliwość, dającą zapomnieć o tem wszystkiem, co nas w tej chwili otacza...

I nie zważając na to, że na tym świecie niczemu dziwić się nie należy, —nie ze zgorszeniem i niesmakiem,—lecz może raczej ze smutkiem patrzymy na tę niewczesną taneczną ochotę, —bez której przecież można się teraz obejść.

I czyż ci młodzi, dla których otworzą się drogi, — tak mozolnie dziś krok za krokiem wywalczane, dla których promienniejsze zajaśnieje słońce i którym życie przyniesie jeszcze w dani wszystkie swoje rozkosze,—nie powinni umieć z godnością oczekiwać przyszłości? Aby to oczekiwanie nie było jałowe—chwila obecna dostarcza nieprzebraną moc zadań społecznych, oświatowych, kulturalnych, gospodarczych, artystycznych — w których każdy zdolności swe i zamiłowania może wykorzystać.

Nadejdzie jeszcze chwila, kiedy po całodziennej pracy słusznie nam się będzie należała ucieszna rozrywka, choćby właśnie taniec,—w którym młodzieńcza energia życiowa znajdzie ujście. Ale nie dziś, nie wśród obecnych warunkow, na szarem, ponurem tle nędzy i walki z tyloma przeciwieństwami—na które wojna rzuca krwawe odbłyski—a na którem te taneczne pląsy odbiłyby się przykrą, jaskrawą plamą,—nie wśród tych wszystkich bolesnych zgrzytów, nie wśród płaczu i jęków, jakie nas dobiegają — a wśród których wesoła, taneczna melodya odbija się rażącym dysonansem...

Unikajmy tych kontrastów.

W twardej szkole, w jakiej nas zamknęła wojna, nauczmy się cierpliwie czekać—a może ta zdobyta umiejętność życia okaże się cnotą i zasługą.

Marianne.



№ 9. **Suknia fałdowana w formie bluzy, z kołnierzem w kształcie kaptura, przybrana haftem.** (Szkic 9). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



№ 7. **Spódnica z tafty lub z cienkiej wełny.** (Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



№ 8. **Spódnica do codziennych bluzek.** (Forma na zam. w adm. Bluszczu).

Wzory Ubiorów i Robót do № 2.

№ 1. **Sukienka dla dziewczynki od 9—12 lat.** (Szkice № 1 a i b). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Bardzo zręczną sukienkę wykonać można, jak wskazuje szkic № 1 b z dwóch materyałów, co przy sporządzaniu ubrań z rzeczy używanych lub resztek, stanowi wielką dogodność. Lekko przymarszczona spódniczka przyszyta do bluzki poniżej stanu, wszytej w prosty karczek z przodu i na plecach. Pasek złożony z dwóch części, przeciągnięty przez klamerki, przyszyte na przodzie i zapięty na perłowe lub rogowe guziki. Rękawy koszulowe, wszyte w mankiecik zapięty na guziczki,—duży kołnierz i odstające mankiety z białego materyału do prania: piki, płótna, batystu i t. p.

Potrzeba około 2½ mtr. materyału podwójnej szerokości.

№ 2. **Oryginalna, zimowa sukienka dla dziewczynki od 6—12 lat, przybrana guziczkami i grubym haftem.** (Szkic № 2). Forma na zamówienie w administracyi Bluszczu.

Bardzo ładną sukienkę z sukna, welwetu, lub innego miękkiego, wełnianego materyału przybierają drobne guziczki i gruby haft, wykonany wełną w paru żywych kolorach. Sukienka, zapięta na ramionach, przewiązana w stanie wązkim paskiem. Końce paska w rodzaju szarfy przeło-



Szkice: № 5. № 9. № 10. № 11. № 1



№ 10. **Kostyum dla młodej osoby, przybrany taśmą i futrzanym kołnierzem.** (Szkic 10). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 11. **Okrycie ... wym krojem.** (Sz... 11). Forma na z... w adm. Blusz...



№ 11. № 12 a. № 12 b. № 13. № 6.

żone na przodzie, zdobią wyhaftowane motywy kwiatów. Podobne motywy powtarzają się na przodach, powyżej paska i w dole sukienki. Drobne guziczki otaczają przecięcie na kieszenie. Spiczasty mały kołnierzyk zakończa chwast. Dół sukienki i mankiety oszyte futrem, które jednak nie jest konieczne i które łatwo odpruć można, zamieniając sukienkę na wiosenną.

Potrzeba: 2 mtr. mat. 120 ctm. szer., $4^1/_2$ tuzina guziczków.

№ 3. **Suknia ślubna z marszczoną bluzką i podwójną spódnicą.** (Szkic № 3). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Na wskazaną tu, śliczną suknię ślubną najodpowiedniejsze są lekkie, miękkie, jedwabne materyały, jak: crêpe de chine, éolienne, muślin jedwabny i t. p. Oszycia, wysokie mankiety i duża kokarda przy bluzce z tafty lub materyi Liberty. Koszulka, wypełniająca suknię, może być z materyału sukni lub z gazy. Rękawy koszulowe, dosyć szerokie, mogą być zastosowane do koszulki.

Welon z tiulu lub z bardzo cieniuchnej gazy, upięty w kształcie czepeczka, oszyty w dole także plisą, jak suknia.

Potrzeba: $4^1/_2$ mtr. materyału podw. szer.,— $1^1/_2$ mtr. jedwabiu podw. szer.

№ 4. **Suknia z dwóch materyałów. z białą, jedwabną, haftowaną kamizelką, przybrana haftem i frendzlą, odpowiednia dla matki panny młodej.** (Szkic № 4). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Zestawienie materyi jedwabnej z gazą w tym samym kolorze umożliwia doskonałe sporządzenie bardzo ładnej sukni z noszonej już wizytowej, jedwabnej tualety. Z gazy wykonane są: bluzka, kilkakrotnie zmarszczona na ramionach i bufiaste rękawy, trzy razy przewiązane pliskami z materyału sukni. Luźne pasy, zdobiące przody i takiż sam szerszy pas na plecach zakończone są frendzlą i haftem. Falbanka przy rękawach i dół baskiny zakończone mereszką. Biała kamizelka z dużym, wykładanym kołnierzem ożywia ubranie, które może być sporządzone w każdym, dowolnym kolorze.

Potrzeba: $3^1/_2$ mtr. materyi podwójnej szerok., 2 mtr. gazy tejże szer., $^3/_4$ mtr. materyi podwójnej szer. (na kamizelkę).



№ 11. **Okrycie nowym krojem.** (Szkic 11). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 12. **Kostyum ułożony w grupy kontrafałd i przybrany futrem.** (Szkic 12 i 12 a). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 13. **Płaszcz (lub suknia w formie płaszcza) nowym krojem, przybrany haftem.** (Szkic 13). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 5. **Suknia z tafty, przybrana ciemniejszą materyą, maszynowym haftem i guzikami.** (Szkic № 5). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Bardzo zręczną suknię z tafty w kolorze jasno-granatowym przybierają wyłogi, oszycia kieszeni i mankiety z materyi o ton ciemniejszej. Suknia przepięta w stanie paskiem, tak jest skrajana, że stanik i spódnica łączą się w jedną całość. Na fałdach spódnicy naszyte guziki przeciągają się na staniku. Duże kieszenie na bokach i płaski kołnierz zdobi haft maszynowy w tonie wyłogów. Z pod tych ostatnich wysuwa się biała, gazowa, nieco wycięta kamizeleczka.

Potrzeba 6 mtr. tafty jasno-granatowej, $^1/_3$ mtr. tafty ciemniejszej, $^1/_2$ mtr. białej gazy.



№ 6. **Bluzka z jedwabnej materyi, przybrana haftowanemi trójkątami.** (Szkic 6). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 6. **Bluzka z jedwabnej materyi, przybrana haftowanemi trójkątami.** (Szkic № 6). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Bluzkę z białej, lekkiej materyi przybierają wyhaftowane jedwabiem trójkąty, przytrzymujące nałożone kontrafałdy i wyszyte przy zapięciu, przy szeregu szydełkowych guziczków. Rękaw koszulowy, doszyty do krótkiego, kimonowego, ujęty w wysoki mankiet z pliską, zapiętą na guzik. Kołnierz duży, biały, batystowy lub z innego, odpowiedniego materyału do prania.

Potrzeba $1^1/_2$ mtr.

№ 7. **Spódnica z tafty lub z cienkiej wełny.** Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Do nieco namarszczonego karczka przyszyte są w górze zaokrąglone bryty i kontrafałdy, przymocowane guziczkami.

Potrzeba: $2^1/_2$ mtr. podw. szer.



№ 14. **Skromna spódnica do bluzek.** (Forma na zamówienie w administracyi Bluszczu).



№ 15. **Spódnica z jedwabnej materyi, ułożona w kontrafałdy.** (Forma na zam. w adm. Bluszczu).



№ 16. **Koszula przybrana lekkim haftem, walansjenką i wstążką.** (Wzór na zamówienie w adm. Bluszczu).

№ 8. **Spódnica do codziennych bluzek.** Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

№ 9. **Suknia fałdowana w formie bluzy, z kołnierzem w kształcie kaptura, przybrana haftem.** (Szkic № 9). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Zręczną suknię z ciemno-lila sukna ożywia haft, na przodzie bluzki i kieszeniach, wykonany płaskim ściegiem w kolorze materyału sukni i metalową nitką. Duże kontrafałdy z obu stron przodu i tyłu ciągną się w całej długości sukni, w stanie lekko przytrzymane paskiem. Pasek ujmuje również z boków fałdy przy kieszeniach. Suknia zapięta z tyłu na rząd guzików, które zdobią również proste rękawy, ujęte u dołu w zaszewkę. Oryginalny kołnierz z sukna i tafty jest po obu stronach zapięcia na zatrzaski podtrzymany drucikiem.

Potrzeba: 3.60 metra mat. 140 cent. szer., $^1/_3$ metra tafty 60 cent. szer., $2^1/_2$ tuzina guzików.

№ 10. **Kostyum dla młodej osoby, przybrany taśmą i futrzanym kołnierzem.** (Szkic 1). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Duży kołnierz z imitacyi szynszyli wykończa żakiecik eleganckiego kostyumu z ciemno-granatowej wełny. Jedwabna, czarna taśma obejmuje brzegi kołnierza, ukrytego pod kołnierzem z futra, wyłogi, brzeg odłożonych mankietów, oraz przód głęboko na siebie zachodzące i w stanie zapięte na guzik. Boki przodu odciętej baskiny złożone w rodzaj kontrafałdy, ozdobione trzykrotnem naszyciem z taśmy, między którem można umieścić kieszenie. Modna spódnica ma tylko $1^1/_2$ metra szerokości.

Potrzeba: 4.15 metra mat. 130 cent. szer., $4^1/_4$ metra jedw. podszewki 50 cent. szer., 1 metr taśmy 7 i 5 cent. szer., $2^1/_2$ metra taśmy 3 cent. szer.

№ 11. **Okrycie nowym krojem.** (Szkic 11). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Jedyne przybranie prostego okrycia z grubego szaro-bronzowego wełnianego materyału stanowi duży futrzany kołnierz. Część przodu i pleców krajane w całości z długą baskiną, dopełnione bocznemi, podstebnowanemi częściami, dochodzącemi do stanu. Tak samo skrajana jest podszewka. Okrycie może być wykończone na moltonie lub bez. Zapięcie z przodu na duże, rogowe guziki. Rękawy zakończone odłożonym mankietem.

Potrzeba: $3^1/_4$ metra mat. 120 cent. szer.

№ 12. **Kostyum ułożony w grupy kontrafałd i przybrany futrem.** (Szkic № 12 i 12a). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Ślicznie zdobią zręczny kostyum z stalowo-niebieskiej, miękkiej wełny—szare lisy, z których sporządzony jest kołnierz, mufka i oszycie żakiecika. Oszycie to ujmuje żakiecik skrajany z czterech części w dole – przerwane z tyłu przy grupie drobnych kontrafałd — zdobi również dół części przodu i tyłu zgrabnej spódniczki, ułożonej po bokach również w grupy drobnych kontrafałd. Żakiet skrajany bez bocznych szwów, może być wysoko zapięty lub też odłożony, jako wyłogi. Ozdobione stebnówką patki przytrzymują boki żakiecika. Na spódnicy patki przykrywają naszycie gładkiej części przodu i zmarszczonej—tyłu, do gorsecikowego paska. Żakiet wykończony na moltonie.

Potrzeba: $4^1/_4$ mtr. mat. 120 cent. szer.

№ 13. **Płaszcz (lub suknia w formie płaszcza) nowym krojem, przybrany haftem.** (Szkic № 13). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Płaszcz lub suknię w formie płaszcza z ciemno-granatowego sukna, zdobi haft wykonany sznelową srebrną nitką, który w arabeskach ciągnie się z przodu po obu stronach wązko i kryto nastebnowanych szwów bocznych—aż do głębokich fałd. Z tyłu, przy takichże fałdach, haft schodzi prawie do samego dołu. Ozdobne, odpowiednie do haftu guziki przybierają przód, tworząc zapięcie z lewej strony i wykończają patki, idące od boków, a połączone z paskiem, ukrytym pod kontrafałdą z tyłu. Gładkie rękawy ujęte są w dole w mankiet z bobrów. Takież futro tworzy wysoki, mały kołnierz.

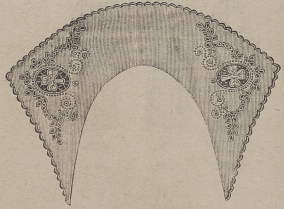
Potrzeba: $4^1/_2$ metra mat. 120 cent. szer.



№ 18. **Część roboty do ryc. 19.**



№ 19. **Serweta przybrana płaskim, kolorowym haftem.** (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).



№ 17. **Kołnierz przybrany haftem i dzierganiem.** (Wzór na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 14. **Skromna spódnica do bluzek.** (Forma na zam. w adm. Bluszczu).

Spódnica z szarej wełny, ułożona jest po bokach przodu w dwie, ku sobie zwrócone i mocno zaprasowane fałdy, przytrzymane u góry naciętemi patkami. Patki te, łączące się z przecięciami, zakończonemi wyhaftowanym trójkącikiem, obszyte są wypustką. Spódniczka wykończona na gorsecikowym pasku, zapięta jest z tyłu na zatrzaski.

Potrzeba: $2^1/_2$ metra mat. 130 cent. szer.

№ 15. **Spódnica z jedwabnej materyi, ułożona w kontrafałdy.** (Forma na zam. w adm. Bluszczu).

Części przodu i tyłu zręcznej spódnicy, z czarnej jedwabnej materyi, ułożone są w trzy zastebnowane u góry kontrafałdy. Boki spódnicy składają się z dwóch części—karczka, do którego przymarszczona jest w główkę 2 cent. szer., część spódniczki. Zapięcie na zatrzaski z tyłu, pod kontrafałdami.

Potrzeba: $3^1/_4$ metra jedw. mat., 100 cent. szer.

№ 16. **Koszula, przybrana lekkim haftem, walansjenką i wstążką.** (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).

№ 17. **Kołnierz, przybrany haftem i dzierganiem.** (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).

№ 18. **Część roboty do ryc. 19.**

№ 19. **Serweta, przybrana płaskim kolorowym haftem.** (Wzór na zamów. w adm. Bluszczu).

ODPOWIEDZI Z DZIEDZINY LECZNICZEJ KOSMETYKI.

P. Jadwidze K. N.-Świat. Niech się Sz. pani nie przejmuje swoim „zadartym nosem". Znam kobiety, które uważane były za bardzo ładne i ponętne, pomimo zadartego nosa. Ma on swój specjalny „polski wdzięk", gdyż najwięcej u nas spotykamy takie kształty nosów. Co zaś tyczy się kuracyi, nie widzę innej prócz masażu, ale jest to rzecz długo trwająca, trzeba zatem mieć wiele czasu, cierpliwości i pieniędzy, co nie jest łatwe w czasach dzisiejszych. Droga operacyjna nie jest w tym wypadku wskazana, co zaś do środków, nie ma takich, któreby kształt zmieniły, działając tylko powierzchownie. Zmasować można części miękkie nosa, o ile jest zbyt tłusty i prze to bardziej wygórowany, kości zaś nosa naruszać nie można.

Pannie Helenie. Jeśli skóra jest szorstka, opierzchnięta i mała pokazuje się wysypka, trzeba nie myć się zupełnie wodą, smarować na noc maścią, a rano zmyć mleczkiem lanolinowem. Wysypka powstaje często z powodu wiatru, zimna i mrozu, najczęściej na tle suchej skóry. Jeśli trwa dłuższy czas, trzeba się leczyć. Na powstałą chwilowo wystarczą wskazane środki.

Dr. J. Sadowska.